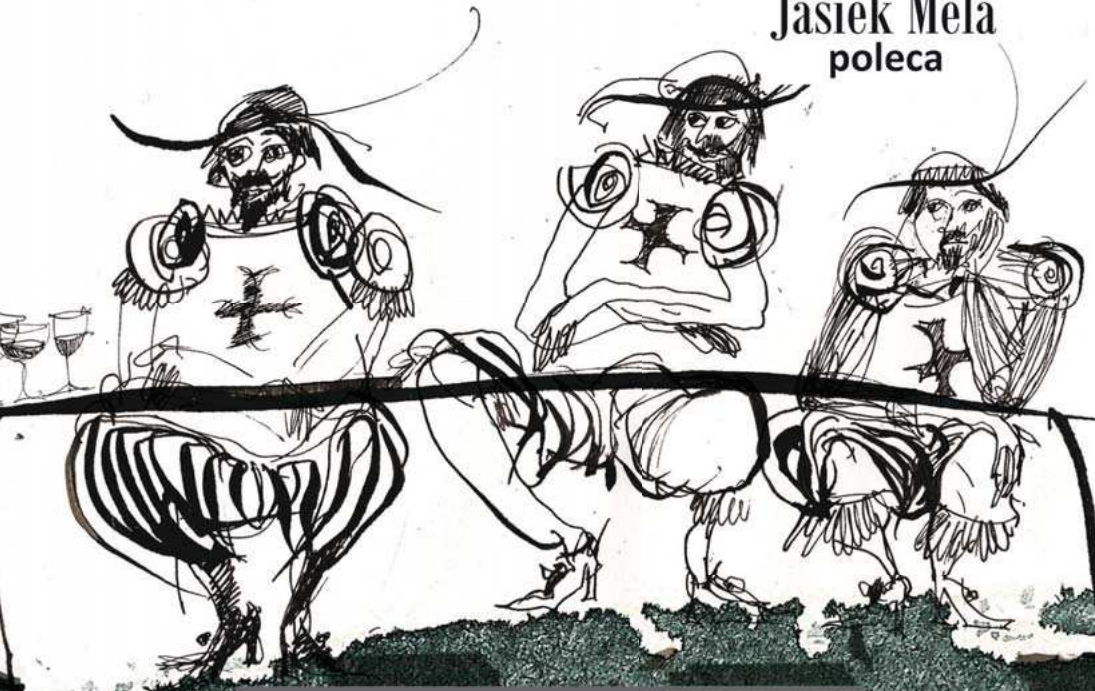


książka do plecaka



Jasiek Mela  
poleca



Aleksander Dumas

**Trzej muszkieterowie.  
Dwadzieścia lat później  
tom 1**

WYDAWNICTWO  ZIELONA SOWA

ALEKSANDER DUMAS

# Trzej muszkietierowie Dwadzieścia lat później

Tom 1

*ISBN: 978-83-7623-961-3*

Wydawnictwo Zielona Sowa  
Kraków

Tytuł oryginału  
*Vingt ans après*

Redaktor serii  
Iwona Misiak

Korekta  
Katarzyna Kierejsza

Ilustracja na okładce  
Edyta Stajniak

Układ typograficzny i projekt okładki  
Piotr Hrehorowicz

Skład i łamanie  
Inter Line s.c.

© Copyright by Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o., 2009

Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.  
30-404 Kraków, ul Cegielniana 4A  
tel./fax (012) 266-62-94  
tel. (012) 266-62-92  
[www.zielonasowa.pl](http://www.zielonasowa.pl)  
[wydawnictwo@zielonasowa.pl](mailto:wydawnictwo@zielonasowa.pl)

W pałacu kardynalskim, w znanym nam już pokoju, przy stole wykładanym po bokach malachitem siedział jakiś człowiek z głową wspartą na ręku.

Za nim na kominku płonął suty ogień, a gorejące główne od czasu do czasu przewalały się jedna na drugą. Blask kominka oświetlał z tyłu wspaniałe szaty zamyślnego, a z przodu rzucał na niego światło świecznik z płonącymi świecami.

Gdy się widziało tę suknię purpurową i te bogate koronki, to czoło pobladło i zmarszczone w zadumie, tę jego samotność w gabinecie, ciszę w przedpokojach, odgłos kroków straży, dolatujący z przedsionka, można było sądzić, że widmo Richelieu\* zasiadło w tym pokoju.

Niestety! Był to w istocie tylko cień wielkiego człowieka.

Francja osłabiona, władza królewska poniżona, wróg plądrujący w granicach państwa – wszystko to świadczyło, że kardynała de Richelieu już zabrakło.

A że ta suknia purpurowa nie była szatą starego kardynała, najwyraźniej wskazywała samotność, pustka, która wydawała się właściwsza raczej dla widma niż dla człowieka żyjącego, wskazywały korytarze bez dworaków, podwórza pełne straży, wrzawa płynąca tu z ulicy i zagląająca przez szyby do tego pokoju, wstrząsane odgłosami z całego miasta, sprzysiężonego przeciw ministrowi, wreszcie te dalekie echa zgiełku i padające bezustannie strzały po to jedynie, ażeby pokazać strażom, szwajcarom\*\*, muszkietierom i żołnierzom, otaczającym Palais-Royal\*\*\* – bo pałac kardynalski zmienił nawet nazwę – że lud także ma bronie pod dostatkiem.

---

\* Armad Jean du Plessis de Richelieu (1585–1642) – francuski mąż stanu, kardynał; od 1624 r. pierwszy minister Ludwika XIII i faktyczny zarządca Francji. Dążył do zaprowadzenia silnej władzy absolutnej, zdobycia przez Francję pozycji mocarstwa.

\*\* Szwajcarzy – w XV–XVIII w. pochodzący ze Szwajcarii żołnierze piechoty zaciężnej.

\*\*\* Palais-Royal – pałac królewski w Paryżu.

Tym widmem Richelieu był Mazarini\*. Otóż Mazarini był sam i czuł się słaby.

– Cudzoziemiec! – wyszeptał. – Włoch! Ot, co wymyślili! Tym razem zamordowali, powiesili i pożarli Conciniego\*\*, a gdybym tylko pozwolił, i mnie zamordowaliby, powiesili i pożarli jak jego, chociaż nie zrobiłem im nigdy nic złego, tylko tyle, że ich troszkę naciskałem. Głupcy! Więc oni nie czują, że ich nieprzyjacielem bynajmniej nie jest ten Włoch, mówiący kiepsko po francusku, ale raczej ci, którzy umieją prawić im piękne słówka tak czystym i ładnym akcentem paryskim.

– Tak! Tak! – mówił dalej minister, z właściwym mu przebiegłym uśmiechem, który teraz dziwacznie wyglądał na jego bladych ustach. – Tak, wrzawa wasza mi powiada, że los ulubieńców królewskich bywa opłakany, ale powinniście również i to wiedzieć, że ja nie jestem wcale zwyczajnym ulubieńcem! Hrabia Essex\*\*\* miał wspaniałą pierścion z brylantami od swej kochanki królewskiej; ja mam tylko prostą obrączkę z cyfrą i datą\*\*\*\*, ale ta obrączka poświęcona została w kaplicy pałacu królewskiego, i mnie nie złamiecie tak, jak byście pragnęli, a gdy krzyczeć będziecie zawsze: „Precz z Mazarinim!”, ja wam odkrzyknę albo: „Niech żyje pan de Beaufort”, albo: „Niech żyje książę pan\*\*\*\*\*”, albo: „Niech żyje parlament”. Aco! Pan de Beaufort znajduje się w Vincennes, książę pan połączy się z nim lada dzień, a parlament...

Tu uśmiech kardynała przybrał wyraz nienawiści, do jakiej tu łagodna postać wydawała się niezdolna.

– A parlament!... Ba! Parlament... zobaczymy, co z niego zrobimy, mamy Orleanów i Montargisów! O! Zajmie mi to sporo czasu, ale ci, którzy zaczęli krzyczeć: „Precz z Mazarinim!”, w końcu

---

\* Jules Mazarin właśc. Mazarini (1602–1661) – kardynał, francuski mąż stanu pochodzenia włoskiego, jako minister kontynuował politykę kardynała Richelieu, umacniając absolutyzm; rozgromił Fronde; mąż Anny Austriaczki.

\*\* Concino Concini – awanturnik włoski, faworyt Marii Medycejskiej i minister Ludwika XIII; zginął w 1617 r. zamordowany przez magnatów, zazdroszczących mu wpływów i bogactwa.

\*\*\* Essex Robert Devereux (1566/7–1601) – faworyt królowej angielskiej Elżbiety I.

\*\*\*\* Wiadomo, że Mazarini, nie otrzymawszy żadnych święceń, które by przeszkadzały mu się żenić, zaślubił Annę Austriaczkę... (Patrz pamiętniki La Porte'a i księżny pałatyńskiej). [przyp. autora]

\*\*\*\*\* Książę pan – tu: książę Gaston Orleański; we Francji „książę pan” był to tytuł nadawany najstarszemu członkowi rodziny królewskiej z linii męskiej.

krzyć będą: „Precz z tymi wszystkimi ludźmi”; na każdego z nich przyjdzie kolej. Richelieu, którego nienawidzili za życia, a odkąd umarł, chwałą go ciągle, jeszcze gorzej stał ode mnie, bo kilkakrotnie był wypędzany, a ileż razy tego się obawiał. Mnie królowa nigdy nie usunie, a jeśli zmuszony będę kiedy ustąpić ludowi, ona wraz ze mną ustąpi, jeśli ucieknę, i ona ucieknie, a wtedy zobaczymy, co poczną buntownicy bez swej królowej i bez swego króla.

O! Gdybym nie był cudzoziemcem, gdybym tylko był Francuzem, gdybym był tylko... tylko... szlachcicem!

I znów wpadł w zadumę.

Rzeczywiście, położenie było trudne, a miniony dzień uczynił je jeszcze bardziej zawiłym. Mazarini, łaknący wciąż, brudny skąpiec, przygniatał lud podatkami, a ten lud, któremu, jak się wyrażał adwokat generalny Talon, nie pozostało nic prócz duszy, i to dlatego jeszcze, że duszy nie można było sprzedać na licytacji, ten lud, który starano się udobruchać wieściami o zwycięstwach, gdy on uczuwał, że wawrzyny nie zastąpią mięsa, którego mu brakło, lud ten od dawna zaczął szemrać.

Ale nie dość jeszcze na tym. Gdy szemrze tylko lud, bez udziału, jak zwykle, mieszczaństwa i szlachty, przeważnie nikt tego nie słyszy; lecz zuchwały Mazarini podrażnił i urzędników, sprzedał dwanaście nominacji, a ponieważ urzędnicy płacili bardzo drogo za swe dyplomy, a dodanie dwunastu nowych kolegów zmniejszyło ich dochody, zaprzysięgli na Ewangelię, iż nie ścierpią tego powiększenia i że opierać się będą wszelkim prześladowaniom ze strony dworu, przyrzekając sobie wzajemnie, że w razie gdyby który z nich przez swój opór stracił urząd, złożą się między sobą, ażeby mu to wynagrodzić.

Oto, co się wydarzyło z obu stron.

Siódmego stycznia około ośmiuset kupców winnych w Paryżu zebrało się na naradę z powodu nowego podatku, jaki chciano nałożyć na nich i na właścicieli domów, i wydelegowali spośród siebie dwunastu do księcia Orleańskiego, który dawnym zwyczajem lubił być popularny.

Przyjęci przez księcia Orleańskiego oświadczyli, że postanowili wcale nie płacić nowego podatku, choćby przyszło z bronią w rękę bronić się przeciw poborcom królewskim.

Książę Orleański wysłuchał ich z wielką pobłażliwością, dał im jakąś nadzieję ulg, obiecał pomówić o tym z królową i pożegnał ich zwykłymi w ustach książęcych słowy: „Zobaczy się, zobaczy”.

A znów urzędnicy dziewiątego stycznia udali się do kardynała, a jeden z nich przemawiał tak stanowczo i tak śmiało, że aż się kardynał zadziwił i odpowiedział im tak samo jak książę Orleański, że zobaczy się, zobaczy.

I wtedy, ażeby zobaczyć, zwołano radę i posłano po nadintendenta skarbu Emery'ego.

Emery'ego lud nie cierpiał, naprzód dlatego, że był nadintendentem skarbu, a nadintendent skarbu musi być niecierpiany, zwłaszcza że, trzeba przyznać, trochę na to zasłużył. Był on synem lyońskiego bankiera nazwiskiem Particelli, który zmieniając nazwisko po zbankrutowaniu, zwał się później Emery. Kardynał Richelieu, który w nim odkrył wielkie zdolności finansowe, przedstawił go królowi Ludwikowi XIII pod nazwiskiem pana Emery'ego, chciał go mianować intendentem skarbu i bardzo wiele mówił o nim dobrego.

– O! Doskonale się składa – odrzekł król. – Rad jestem, że mi mówisz o panu Emerym i przedstawiasz go jako uczciwego człowieka. Powiedziano mi, że protegujesz tego oszusta Particellego, i bałem się, abyś na mnie nie wymógł posady dla niego.

– O! Najjaśniejszy panie – odrzekł kardynał – niech Wasza Królewska Mość będzie spokojny, ten Particelli, o którym mowa, został już powieszony.

– Tym lepiej! Tym lepiej! – odpowiedział król. – Przecież nie bez racji nazywają mnie Ludwikiem Sprawiedliwym.

I podpisał nominację pana Emery'ego, który został też później nadintendentem skarbu.

Posłano po niego na naradę. Przybył blady i stroskany, mówił, że mu o mało co nie zamordowano syna na placu przed Palais-Royal; tłum go napotkał i zaczął mu wymyślać za zbytki żony, która miała pokój wybity czerwonym aksamitem z haftem złotym. Była to córka Michała Lecamusa, sekretarza królewskiego z 1617 roku, który teraz, pozostawiwszy sobie czterdzieści tysięcy dochodu, podzielił dziesięć milionów między dzieci. Syn Emery'ego o mało co nie został uduszony, gdyż jeden z wichrzycieli

zapropował, ażeby go dusić dopóty, dopóki nie wyrzuci z siebie złota, które pożarł.

Rada tego dnia nic nie postanowiła, gdyż nadintendent zajęty był wypadkiem i nie miał głowy do myślenia.

Nazajutrz naczelny prezydent Mateusz Molé, którego odwaga we wszystkich tych sprawach, jak powiada kardynał de Retz, dorównywała odwadze księcia Beauforta i księcia Kondeusza, to jest dwóch ludzi uważanych za najdzielniejszych w całej Francji; nazajutrz zatem z kolei został napadnięty naczelny prezydent i lud groził mu także męczarniami.

Ale prezydent naczelny odpowiedział ze zwykłym spokojem, niezdziwiony ani niewzruszony, że jeśli wichrzyciele nie będą słuchali woli królewskiej, postawić każe na wszystkich placach szubienice i natychmiast wywiesza najburzliwszych... Ci na to mu odpowiedzieli, że bardzo pragną postawienia tych szubienic, bo posłużą im one do powieszenia złych sędziów, którzy kupują łaski dworu za cenę nędzy ludu.

To jeszcze nie wszystko.

Dnia jedenastego stycznia, kiedy królowa udała się na nabożeństwo do Najświętszej Marii Panny, jak zwykle w każdą sobotę, otoczyło ją przeszło dwieście kobiet, krzycząc i błagając sprawiedliwości.

Zresztą nie miały one żadnych złych zamiarów, chciały tylko na klęczkach prosić ją o zlitowanie nad ludźmi; lecz straż nie pozwoliły im tego uczynić i królowa przeszła dumna i wyniosła, nie wysłuchawszy ich wrzasków. Po południu znowu odbyło się posiedzenie rady, a na nim uchwalono, żeby podtrzymać powagę królewską; w następstwie tej uchwały parlament nazajutrz został odroczonego do dwunastego.

Wieczorem tego dnia, w którym otwieramy tę nową historię, król, mający wówczas lat dziesięć, przebywszy świeżo ospę, zamierzał jakoby dla dziękczynienia za wyzdrowienie udać się do Notre-Dame\* i w tym celu kazał wystąpić swym strażom: szwajcarom i muszkietierom, którzy ustawili się dokoła Palais-Royal, na bulwarach i na moście Pont-Neuf, a po ukończonym nabożeństwie poszedł do parlamentu, gdzie na przygotowanym

---

\* Notre-Dame – katedra Najświętszej Marii Panny w Paryżu.

tronie nie tylko potwierdził dawne edykty, ale wydał jeszcze pięć czy sześć nowych, a wszystkie one, jak orzekł kardynał Retz, były jedne od drugich bardziej rujnujące.

Wobec tego sam naczelny prezydent, który podczas poprzednich dni, o czym wszyscy wiedzieli, trzymał stronę dworu, teraz bardzo śmiało wystąpił przeciw podobnemu sprowadzeniu króla do parlamentu dla pogwałcenia wolności głosowania.

Ale najbardziej przeciw nowym podatkom gardłowali prezes Blancmesnil i radca Broussel.

Po wydaniu edyktów król powrócił do Palais-Royal. Na drodze zebrał się wielki tłum, ale ponieważ wiedziano, że idzie z parlamentu, a nie wiedziano, czy wymierzył sprawiedliwość ludowi, czy też na nowo go gnębił, ani jeden okrzyk na drodze nie wieszował mu powrotu do zdrowia. Przeciwnie, twarze wszystkich były posępne i niespokojne, a niektóre wyglądały nawet groźnie.

Pomimo powrotu króla wojska pozostały na placu; obawiano się wybuchu rozruchów, gdy wieść się rozniesie, co uchwalone zostało w parlamencie.

I w istocie, zaledwie rozeszła się wiadomość po ulicach, że król, zamiast zmniejszyć podatki, jeszcze je bardziej powiększył, natychmiast zebrały się tłumy i rozległy się głośne okrzyki: „Precz z Mazarinim! Niech żyje Broussel!... Niech żyje Blancmesnil!”. Lud dowiedział się bowiem, że Broussel i Blancmesnil za nim przemawiali i choć wymowa ich na nic się nie przydała, zachował dla nich swą wdzięczność.

Chciano te tłumy rozproszyć, chciano poskromić krzyki, ale, jak się to zdarza w podobnych razach, tłumy jeszcze bardziej wzrosły, a krzyki się podwoiły.

Rozkaz wydany został strażom królewskim i szwajcarom, ażeby nie tylko trzymali się ostro, ale odbywali nadto patrole na ulicach Saint-Denis i Saint-Martin, gdzie tłumy wydawały się najgroźniejsze i najbardziej ożywione.

Wtem oznajmiono w pałacu królewskim starszego zgromadzenia kupców. Wprowadzono go natychmiast; przybywał on oświadczyć, że jeżeli nie ustaną natychmiast te demonstracje wojskowe, za dwie godziny cały Paryż będzie pod bronią.

Rozprawiano nad tym, co począć, gdy Comminges, porucznik gwardii, wszedł w podartym ubraniu i z zakrwawioną twarzą.

Królowa, zobaczywszy go, krzyknęła ze zdziwienia i spytała, co się stało.

Otóż widok straży, jak to przewidział starszy zgromadzenia, rozdrażnił lud niezmiernie. Opanowano dzwony i zaczęto dzwonić na alarm. Comminges trzymał się dobrze, aresztował jakiegoś człowieka, który wydał mu się jednym z główniejszych wicherzycieli, i dla przykładu kazał go powiesić.

Żołnierze pociągnęli go za sobą dla wykonania tego rozkazu, ale w Halach powitano ich kamieniami i halabardami; wicherzyciel skorzystał z tego zamieszania, ażeby umknąć. Pobiegł na ulicę Tiquetonne i wpadł do domu, gdzie zaraz wyłamano bramę.

Gwałt ten był już zbyt znaczny, gdyż winowajcy nie odnaleziono. Comminges został na ulicy i z resztą oddziału powrócił do Palais-Royal, ażeby zdać raport królowej. Przez całą drogę ścigały go okrzyki i pogróżki, kilku żołnierzy zostało zranionych pikami i halabardami, a jego samego trafił kamień i skaleczył w brew. Opowiadanie Comminges'a dowodziło słuszności rady starszego zgromadzenia, ale nie posiadano dostatecznych sił dla zmierzania się z większym buntem.

Kardynał kazał rozpuścić wieść wśród ludu, że wojsko zostało rozstawione na bulwarach i na moście Pont-Neuf tylko dla ceremonii i że zaraz będzie cofnięte.

W istocie, około godziny czwartej po południu wojsko zebrało się w całości przy Palais-Royal; postawiono jednak posterunek przy rogatce des Sergents i drugi przy Quinze-Vingts. Podwórze i parter pałacu napełniono szwajcarami oraz muszkietierami i czekano.

Tak przedstawiała się sytuacja, kiedy wprowadziliśmy czytelników do gabinetu kardynała Mazariniego, do tego gabinetu, który należał dawniej do Richelieu, i widzieliśmy, w jakim stanie umysłu Mazarini słuchoł dolatującego doń szemrania ludu i wystrzałów, które rozlegały się aż w jego pokoju.

Naraz podniósł głowę jak człowiek, który już się namyślił; spojrział na ogromny zegar mający wydzwonić godzinę szóstą i wzięwszy ze stołu gwizdawkę, leżącą tuż pod jego ręką, zaświstał dwukrotnie.

Ukryte w obiciu drzwiczki otworzyły się, wszedł bez słowa jakiś człowiek, czarno ubrany, i stanął za fotelem.

– Bernouin – odezwał się kardynał, wcale się nawet nie odwracając do niego, bo wiedział, że po dwukrotnym gwizdnięciu wejść może tylko jego kamerdyner – jacy muszkietierowie są dziś na straży w pałacu?

– Czarni, wasza ekscelencjo.

– Która kompania?

– Kompania Tréville’a.

– Czy jest w przedsiönku któryś z oficerów tej kompanii?

– Porucznik d’Artagnan.

– Zuch, jak mi się zdaje?

– Tak, wasza ekscelencjo.

– Daj mi ubranie muszkieterskie i pomóż mi się odziać.

Lokaj wyszedł równie cicho, jak się zjawił, i po chwili wrócił, przynosząc żądany strój.

Wtedy kardynał, milczący i zamyślony, zaczął się pozbywać ubioru ceremonialnego, który przywdział na sesję parlamentu, i włożył na siebie kaftan wojskowy, który nosił z pewną swobodą dzięki kampaniom dawniej odbytym we Włoszech. Kiedy się już ubrał zupełnie, rzekł:

– Idź mi po pana d’Artagnan.

Lokaj wyszedł tym razem przez drzwi środkowe, wciąż jednak milczący i niemy.

Rzec by można, że był to tylko cień. Kardynał, pozostawszy sam, z pewnym zadowoleniem przeglądał się w lustrze; młody był jeszcze, bo miał czterdzieści lat zaledwie; postawy eleganckiej, wzrostu nieco więcej niż średniego, cery żywej i śniadej; spojrzenie pełne ognia, nos wielki, ale dosyć kształtny, czoło duże, majestatyczne, włosy czarne i trochę kędzierzawe, broda czarniejsza od włosów i zawsze starannie ufryzowana żelazkiem, co nadało jej wdzięku. Z przyjemnością też przypatrywał się rękom: miał bardzo ładne i bardzo troskliwie je pielęgnował; potem odrzuciwszy wielkie rękawice łosiowe, które już włożył, bo należały do munduru, włożył zwyczajne rękawiczki jedwabne.

W tej chwili otworzyły się drzwi.

– Pan d’Artagnan – oznajmił lokaj.

Oficer wszedł.

Był to mężczyzna lat trzydziestu do czterdziestu, niewielkiej, ale zgrabnej postawy, szczupły, o żywych i sprytnych oczach;

brodę miał czarną, a włosy siwiejące, jak to bywa zawsze, gdy życie płynie zbyt dobrze lub zbyt źle, a zwłaszcza kiedy ktoś jest brunetem.

D'Artagnan, znalazłszy się w gabinecie, przypomniał sobie natychmiast, że był tu raz za rządów Richelieu, a widząc, że w gabinecie tym nie ma nikogo prócz muszkietera z jego kompanii, zatrzymał wzrok na tym muszkietarze i pomimo stroju od pierwszego rzutu oka poznał kardynała.

Stanął więc w postawie pełnej uszanowania, ale i pełnej godności, jaka przystoi człowiekowi na jego stanowisku, który w życiu miewał często sposobność widywać się z wielkimi panami.

Kardynał zwrócił nań oczy, bardziej przebiegłe niż głębokie; przyglądał mu się uważnie, a po kilku sekundach milczenia rzekł:

– To pan jesteś panem d'Artagnan?

– Ja sam, wasza ekscelencjo – odpowiedział oficer.

Kardynał patrzył jeszcze przez chwilę na tę głowę tak inteligentną i na tę twarz, której zbytnią ruchliwość skrępowały lata i doświadczenie; ale d'Artagnan wytrzymał to badanie jak człowiek, któremu niegdyś przyglądały się oczy o wiele przenikliwsze od tych, których egzaminowaniu teraz był poddawany.

– Mój panie – odezwał się kardynał – pójdziesz pan ze mną, a raczej ja pójdę z panem.

– Na rozkazy waszej ekscelencji – odpowiedział d'Artagnan.

– Chciałbym sam obejrzeć warty otaczające Palais-Royal; sądzisz pan, że jest niebezpieczeństwo?

– Niebezpieczeństwo, wasza ekscelencjo?... – spytał d'Artagnan. – A jakie?

– Powiadają, że lud jest bardzo wzburzony.

– Mundur muszkietarów królewskich jest bardzo szanowany, wasza ekscelencjo, a – choćby tylko samoczwart – obowiązuję się rozpedzić setki tej hałastry.

– Widziałeś pan, co spotkało Comminges'a.

– Pan de Comminges jest w gwardii, a nie w muszkietarach – odpowiedział d'Artagnan.

– To chcesz pan powiedzieć – podchwycił kardynał z uśmiechem – że z muszkietarów lepsi żołnierze niż z gwardii?

– Nikt nie jest wolny od miłości dla własnego munduru, wasza ekscelencjo.

– Ze mną jest jednak inaczej – podchwycił Mazarini z uśmiechem – bo widzisz pan, żem zrzucił swój mundur, ażeby przywdziać wasz.

– E! Wasza ekscelencjo – rzekł d’Artagnan – to tylko przez skromność. Ja, gdybym miał mundur waszej ekscelencji, to byłbym mu rad.

– Tak, ale na wyjście dziś wieczorem nie jest on dla mnie zbyt bezpieczny. Bernouin, mój kapelusz.

Lokaj wszedł, przynosząc kapelusz mundurowy o szerokich skrzydłach. Kardynał włożył go na głowę junacko i zwróciwszy się do d’Artagnana, spytał:

– Pan masz w stajni osiodłane konie, nieprawdaż?

– Mam, wasza ekscelencjo.

– To chodźmy.

– Ilu wasza ekscelencja chce ludzi?

– Powiedziałeś pan, że w czterech obowiązuje się rozpędzić setkę motłochu, a ponieważ moglibyśmy napotkać dwie setki, weź pan ośmiu.

– Kiedy wasza ekscelencja jedzie?..

– Ja idę za panem – podchwycił kardynał – albo lepiej nie tędy, poświeć nam, Bernouin.

Lokaj wziął świecę, kardynał wyjął mały kluczyk z biurka i otworzywszy drzwi na potajemne schody, znalazł się po chwili na dziedzińcu Palais-Royal.

W dziesięć minut później mały oddział wyruszał ulicą Bons-Enfants, zza sali teatralnej, którą kardynał Richelieu zbudował, ażeby grać w niej *Mirame*, a kardynał Mazarini, większy amator muzyki niż literatury, kazał wystawiać tu pierwsze opery francuskie.

Wygląd miasta dowodził wielkiego wzburzenia. Liczne gromadki przebiegały ulice i zatrzymywały się na widok żołnierzy z miną groźnego szyderstwa, znamionującego, że mieszczenie, zwykle spokojni, nabrali wojowniczego ducha.

Chwilami wrzawa dolatywała od strony Hal. Strzały z fuzji huczały w ulicy Saint-Denis, a niekiedy, ni stąd, ni zowąd, odzywały się dzwony, wprawione w ruch z fantazji ludu.

D'Artagnan przebywał drogę z zupełnym spokojem człowieka, na którego nie działają wcale takie drobnostki. Kiedy gromadka jakaś zawałiła sobą ulicę, najeżdżał na nią konno, wcale nie ostrzegając, a ponieważ wichrzyciele albo też i buntownicy, z których składał się ten tłum, widzieli, z kim mają do czynienia, rozstępowali się i przepuszczali patrol.

Kardynał zazdrościł mu tego spokoju, który przypisywał przyzwyczajeniu do niebezpieczeństw, ale niemniej na rachunek oficera, pod którego dowództwem chwilowo stanął, składał i ten wzgląd, że przezorność sama nadaje niezmaconą odwagę.

Kiedy się zbliżono do warty przy rogatce des Sergents, sztyldwach\* krzyknął: „Kto idzie?!”.  
\* Sztyldwach – dawn.: żołnierz stojący na warcie; wartownik, strażnik.

D'Artagnan odpowiedział, po czym, zapytawszy kardynała o hasło, wymówił je; hasłem tym było: „L u d w i k”, odzewem: „R o c r o i\*\*”. Po wymienieniu tych znaków d'Artagnan zapytał, czy to pan Comminges dowodzi placówką.  
\*\* Rocroi – miasto we Francji, gdzie w 1643 r. książę Kondeusz zwyciężył Hiszpanów.